

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 1

Katowice, 10-go stycznia

1932

Na niedzielę pierwszą po Trzech Królach.

Ewangelja

zapisana u św. Łukasza rozdz. 2, w. 42—52.

Gdy Jezus doszedł do lat dwunastu, udali się Rodzice Jego do Jerozolimy na zwykły obchód tej uroczystości. A po upływie świąt, gdy wybierali się z powrotem, pozostał młody Jezus w Jerozolimie, o czym nie wiedzieli Rodzice Jego. W mniemaniu, że idzie On z gromadą, odbyli dzień drogi, i poszukiwać Go zaczęli pomiędzy krewnymi i znajomymi. Ale nie znalazłszy, wrócili do Jerozolimy i szukali Go. I stało się, że dnia trzeciego znaleźli Go w świątyni, gdy siedział wśród uczonych, przysłuchując się im i zadając im pytania. Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli wielce zdumieni Jego rozumem i odpowiedziami. A ujrzawszy Go, bardzo się zdziwili. Matka zaś Jego rzekła doń: Synu, czemuś nam tak uczynił? — Oto Ojciec twój i Ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie! A On im odrzekł: Czemużto szukaliście Mnie? Nie wiedzieliście, że potrzeba, abym brał udział w sprawach Ojca mego? Ale oni nie zrozumieli odpowiedzi, którą im dał. Wrócił się tedy z nimi i przybył do Nazaretu, i był im posłuszny. A Matka Jego przechowywała w swem sercu wszystkie te zdarzenia. Jezus zaś wzrastał w mądrości i w latach i w łasce u Boga i u ludzi.

Nauka.

Dwunastoletni Jezus zostaje w świątyni, nie o tem nie mówiąc rodzicom, ponieważ tak chciał Ojciec jego niebieski. Gdy Bóg woła, ustaje wszelki

wzgląd na ludzi; Najpierw wola Boża, a potem wszystko inne!

Tak postępował Zbawiciel w całym swym życiu. Pewnego razu nauczał przy studni Jakóbowej Samarytanek. Nadeszli apostołowie, przynieśli z miasta nieco żywności i zapraszają swego Mistrza, aby się posilił. Lecz On odpowiada: „Mój pokarm jest czynić wolę Ojca mego“.

Innego dnia nauczał w pewnym domu. Proszą go, aby na chwilę wyszedł, gdyż chcą się z nim rozmówić krewni jego. Pan Jezus odpowiada: „Któż jest krewnym moim? Kto czyni wolę Bożą, ten jest bratem, ojcem, krewnym moim“.

Abyśmy nie zapomnieli o tem dniu żadnego, w codziennym pacierzu każe nam mówić: „Ojcze nasz, bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi!“ Dołączmy do tych słów w myśli takie postanowienie: będę dziś spełniał we wszystkim wolę Twoją! Nie powstrzymaj mnie od tego ni trud, ni względ ludzki, ani prośba, ani groźba! Nawet rodziców i przełożonych słuchać nie wolno, gdyby, broń Boże, mieli nakazywać lub żądać czegośkolwiek, co by się sprzeciwiało woli Bożej.

Więcej niż kiedykolwiek, w czasach obecnych potrzeba nam ludzi, którzy twardo jak skała stoją przy tej zasadzie: przedewszystkiem wola Boża! Choćby to nie podobało się ludziom, moim przełożonym, nawet moim rodzicom, — ja będę zawsze tak postępował, jak nakazuje Bóg!

„Niech tylko każdy w swoim kole czyni, co każe Duch Boży, — A całość sama się złoży“.

Amen.

Nasze hasło.

Różne uczucia budzi w nas Nowy Rok Pański 1932.

Nie spodziewamy się w tym roku wielkich zmian na lepsze. Ani się ludzimy, że różdżka pokoju zakwitnie wśród społeczeństw burzliwych a wrogich, któremi Polska jest otoczona.

Wiemy wszelako, że niejedna rzecz nową postać przybierze, gdy przyłożymy silnej woli i męskiego stalowego wysiłku.

Bezwład jest właściwością trupów. Ale my jesteśmy narodem żywym, młodym, nieprzeżartym jeszcze rdzą zepsucia, i dlatego stać nas na czyny, na czyny wybitnie katolickie!

Oto idą czasy, w których zamęt podnosi głowę i wstrząsa duszą narodu, aby zachwiać w nim i obalić Prawdę uznaną.

Tej Prawdzie właśnie bądźmy wszyscy wierni i brońmy jej od zniewag śmiało, godnie, po katolicku, publicznie i prywatnie przy każdej okazji.

Obrona Prawdy jest w naszych warunkach konieczna i dlatego jeszcze, abyśmy zachowali jedność narodową.

Wobec zamachu na wiarę — hasło nasze niech jeszcze rozgłośniej brzmi wzdłuż i wszerz państwa: „Katolicyzm i Polska nierozłączne — na wieki!“

Z tem hasłem donośnym przestępujemy progi Nowego Roku. Już nieraz w imię katolicyzmu i Polski ojcowie nasi odnosili zwycięstwa. I nam też skupionym w szeregi pod przewodem arcypasterzy, świeci nadzieja niełatwego, ale i też zaszczytnego boju — o Prawdę.



Do czego prowadzi zniesienie nierozzerwalności małżeństwa?

Gdy w jesieni 1917 roku rząd sowiecki zagarnął władzę w swoje ręce, ogłosił wszystkie małżeństwa kościelne za nieważne. Na podstawie nowej sowieckiej ustawy małżeńskiej zawarcie albo rozwiązanie małżeństwa wymagało tylko zgłoszenia go u władz. Wyniki były takie, że w ciągu pierwszych pięciu miesięcy 1927 roku, jak podawała „Krasnaja Gazjeta“, zgłoszono do ksiąg 9 681 nowych małżeństw, a 7 355 rozwodów. Ta łatwość uzyskiwania rozwodów doprowadziła do tego, że władze musiały zagrozić mężczyznom karą kryminalną za nadużywanie położenia bezbronnej kobiety. Zdarzały się małżeństwa, zawierane na jeden, dwa albo sześć dni. Niedawno ta sama „Krasnaja Gazjeta“ doniosła o takim zdarzeniu:

Do jednego z moskiewskich urzędów cywilnych zgłosił się pewien młody robotnik i pewna studentka z żądaniem, aby zapisano ich w księgach jako małżonków, bo na tem polega cała ceremonia ślubu w Sowietach. Żądaniu temu stało się zadość i młoda para opuściła biuro już jako małżonkowie. Na schodach jednak wszczęła się pomiędzy małżonkami sprzeczka, która, gdy wsiedli następnie do tramwaju, tak się zaogniła, że w końcu oboje postanowili rozwieść się natychmiast.

I oto dokładnie w pół godziny po „ślubie“ małżonkowie stanęli w tem samym biurze, gdzie zarejestrowano ich małżeństwo, i ten sam urzędnik udzielił im rozwodu na podstawie „niezgodności charakterów“.

Czy to nie kpiny?

Równie groźnie przedstawia się sprawa rozwodów w państwach, wysoko stojących pod względem oświaty i urządzeń społecznych. W Stanach Zjednoczonych rozwodów przybywa, a małżeństw ubywa. W roku 1927 było tam 192 037 rozwodów, tj. o 11 184 (6,2 proc.) więcej, niż w roku 1926. Natomiast liczba małżeństw spadła o 1880. To też biskupi metodystów wydali odezwę, potępiającą z całym naciskiem rozwody.

W Niemczech wybuchła w ostatnich czasach jak gdyby zaraza rozwodów. Najwięcej zapisano ich

w Poczdamie. Sąd w ciągu jednego przedpołudnia rozpatruje tam 30 do 40 wniosków rozwodowych. Na dzień wigilijny nawet wyznaczono 18 spraw rozwodowych. Stroną, żądającą rozwodu, jest przeważnie mąż, podający jako powód złe prowadzenie się żony w czasie wojny, gdy on walczył na froncie.

Podobnie na Węgrzech, w samym tylko Budapeszcie udzielono w ciągu sześciu miesięcy 2 335 rozwodów. To też w senacie węgierskim wniesiono zażyczenie w sprawie lekkomyślnych rozwodów. Liczby, które podano, były istotnie zastraszające. Liczba rozwodów bowiem, która w roku 1895 wynosiła około 1500 rocznie, w latach 1923 i 1924 podniosła się do 6000. W trzech czwartych wypadków powodem do rozwodu było opuszczenie jednej strony przez drugą. To ułatwienie rozwodów sprowadzało do Węgier wielu cudzoziemców, pragnących uzyskać rozwód.

Czy te przykłady nie powinny wystarczyć do przekonania, że zniesienie zasady nierozzerwalności małżeństwa musi doprowadzić do rozluźnienia najważniejszych i najświętszych węzłów społecznych, a w końcu do zniszczenia rodziny. A tylko zaślepienie może wierzyć, że bez rodziny może istnieć zdrowe społeczeństwo. Szczególnie rozważyć powinny to kobiety, bo one głównie zapłacą to zaślepienie.

Co napisał biskup protestancki o nierozzerwalności małżeństwa?

Biskup protestancki z St. Albans w Anglii w liście pasterskim do swoich wiernych przytacza słowa protestanckiego obrzędu ślubnego: „Na zło i dobro łączę się z tobą jako mąż (lub żona). Chociażbvs mi uniemożliwił współżycie z tobą, łączę się z tobą jako mąż (lub żona), aż nas śmierć rozłączy“. „Po tak uroczystej przysiędze — pisze — biskup wobec Boga w Jego kościele nikt nie ma prawa żądać ode mnie, abym asystował przy tej samej przysiędze mężczyzny lub kobiety, którzy już raz tę przysięgę złamali“. Oświadcza to uroczystie, że nie będzie pomagał, by ktokolwiek rozwiedzony otrzymał ślub kościelny.

Niezgoda.

— Wyżej ramię, kumotrze, wyżej ramię! a trzymajcie, bo nie utrzymam! A toć to jakby skrzyżnia z ołowiem.

Tak wołał z cicha kołodziej Krażek na idącego przed nim kowala Podzwonialskiego, który dźwigał z dziesięciu innymi, aż się pocił, ciężar, a sapał jak koń w furmańskim wozie, gdy idzie pod górę.

Nieśli trumnę na marach w dziesięciu chłopów; za nimi szła druga dziesiątka z podobnym ciężarem.

To dwóch sąsiadów i rodzonych braci, Jana i Piotra Grześkowiaka, w jednej chwili śmierć ze świata zebrała; a ludzie nucąc obydwoim wspólnie jedną pieśń pokoju przy odgłosie dzwonów, które im zgodnie razem dzwoniły, wciągnęli na poważną nutę: „Kto się w opiekę“ i prowadzili ich do grobu.

Za trumną szły dwie wdowy, a w koło każdej

gronko drobnej dziatwy; jedna nawet niemowlę niosła na rękę.

W środku między nimi sterczał nad wszystkich, jak dąb stary, człowiek potężnego wzrostu, pochylony wiekiem, siwy jak gołabek, ale czerstwv i silny jeszcze.

Lzy mu się jak groch toczyły z oczu, a wszelako pocieszał jedną to drugą wdowę, to które z dzieci do siebie przytulał, wznosząc raz po raz oczy ku niebu.

To ojciec obu nieboszczyków.

Stanęli z pogrzebem na cmentarzu. Ksiądz odśpiewał modlitwy, „pokropił trumny, zmówił z ludźmi „Ojciec nasz“ za duszę Jana i Piotra, rzucił na nie ziemi, ludzie trumny w grób wspólny spuścili . . . i poczęły głucho a ciężko bębnić trumny pod rzucaną na nie ziemią. Ostatni to głos, który wśród pla-

szu i jęku krewnych słyszą ludzie z tych wiernych mieszkań nieboszczyków.

— Spijcie zgodnie, dzieci! — wyjęczał ojciec stary i głośno zapłakał, opierając się o krzyż na cmentarzu, tak go boleść żałobna przejęła.

— Pójdźcie, kumotrze Antoni! — mówił Krążek do starego ojca, biorąc go lekko pod rękę — płacz zmarłych nie wskrzesi, a śmierć każdego kosą zmiecie.

— Kosą zmiecie, mówicie? . . . a moich chłopaków zgniotła dębem — odrzekł stary.

— To też mają z niego trumny na wieczne mieszkanie, ale co ciężkie to ciężkie, ledwo ramię czuję — powiedział Krążek.

— Nie żałowałem im, czego jeden drugiemu żałował, aż Bóg ich obdzielił i razem na śmierć obrócił przyczynę kłótni i zgorzenia. Nie żałowałem im i ciesielską sztuką zbiłem im z nieszczęsnego dębem granicznego trumny, co do sądnego dnia przeleżą — wyrzekł nieszczęśliwy ojciec.

A wzniosłszy oczy do nieba, zgniotł lzy jak groch płynące, otarł połą od sukmany zaplakane oczy i poszedł między wnuki i synowe zaprowadzić płaczących do domu.

Poszli!

Tymczasem u wrót cmentarnych zebrała się ludzi gromada, popatrzyła na starca z wdowami i sierotami, a potem skupiła się koło starego organisty, który o tym niezwykłym pogrzebie prawil.

— Czytałem na starych dukatach po łacinie: Concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur, co się na polską mowę wyklada: Zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Oj narujnowała też między nami! Dwóch chłopów jak dębczaki silnych w jednej chwili położyła trupem, dwóch ojców rodzin oderwała od swoich, naczyniła wdów i sierót, a dwóch braci w gniewie i kłótni, bez usprawiedliwienia się Bogu, bez świętego wjatyku na tamten świat wyprawiła

— A mówiłem — ciągnął organista dalej — mówiłem nieraz do nieboszczyka Jana: starszyś, ustap! po co ci proces i gniew z bratem o marny dąb na między! To znowu prawię do nieboszczyka Piotra: młodszyś, ustap i uszanuj starszego brata, będziesz żył i bez starego dębiska! Ale daremnie! Stary Antoni na ciesielstwie dorobił się kawałka chleba, kupował kawałek ziemi jeden po drugim i gdy dzieci wyposażył, a miał tylko tych dwóch synów, podzielił ziemię po równych częściach i właśnie na między dąb stary zostawił. Miała być granica znaczna tem drzewem, a ona się stała śmiercią dwóch braci. Każdy chciał mieć dąb dla siebie. Ten powiada: „Korzenie po mojej stronie!” — ów znowu: „Na moja rolę cały się zwiesia!” — Ten mówił: „To moje!” a ów krzyczy: „Nie twoje, ale moje”. Na sąd starego ojca zdali się zrazu, ale gdy dąb ściać i podzielić nim się kazal, żaden słuchać nie chciał i poszli w sądy. Mało dziesięć razy zjeżdżali miernicy i ledwo dziury w dębisku nie wypatrzeli przez swoje szkła i rury. Cóż pomogło? — wygrał w jednym sądzie Jan, — poszedł Piotr do wyższego, a Jan znowu i na to znalazł wykret, bo czego sami nie umieli, to ów nieszczęsny ród jaszczurczy, te pisarki po miastach szepotali im w uszy. Ile z tego było obrazy Bosk., ile gniewu i zatrucia dla obu rodzin i ojca starego, a ile kosztów, zmudy i oplacania się tym oszukańcom pisarkom! . . . Aż poszła sprawa do najwyższego sądu, który za parę dni miał zjechać. Ależ wyprzedził

wyrok Najwyższego Sędziego. Zerwała się ogromna burza, że kawał lasu tam oto wyrwała z korzeniem. Byłem u nich właśnie. Przypada parobek do Jana i woła: „Gospodarzu, wiatr trzęsie dębem na między, jak trzcina, aż tu słyszać, jak dębisko trzeszczy”. On za czapkę i pędzi.

— Teraz się pokaże — woła — dąb na moja powali się stronę.

— Albo też i nie! — odpowiada mu Piotr z daleka, bo już przed nim do dębem popędził. — Nie twoje doczekanie! — dodał jeszcze młodszy.

— To już chyba Boga nie byłoby w niebie! — woła Jan.

— Jest sprawiedliwość i na ziemi, a ta za mną! — woła Piotr.

I tak obaj pędzą na wyścigi do dębem, a tym wicher jak piórkiem trzęsie. Piasek uniósł się z ziemi, wiatr nim wykrecał młynka, buchnął im w oczy, uderzył jednego o drugiego . . . Pochwycili się, sądząc zapewne każdy, że drugi z umysłu na niego uderza, podniosły się pięście, czubią się tuż pod drzewem, biegną żony, stary ojciec śpieszy godzić — a tu silny wicher buchnie jakby świat zrywać, stare dębisko łamie jak kołek spruchniały i — O Jezus Maria! — pasujących się braci razem przywała i zabija na miejscu.

Ani pisnęli, ani imienia Boskiego żaden zapewne wymówić nie zdążył!

Taki był ostatni wyrok Najwyższego Sędziego i taki koniec kłótni, procesu, dębem i braci.

— A dębisko było spróchniałe, że ledwo stary ojciec na dwie trumny wybrał z niego desek — zawołał kowal Podzwoniński.

— Spróchniałe, ale ciężkie; jeszcze mię ramię boli! — dodał kołodziej Krążek.

— Bo im stary drzewa nie żałował, żeby już to wszystkie z nimi święta ziemia pokryła, co niezgodny narobiło.

— Oj ta niezgoda! ta — jak to o niej mówiliście po łacińsku, panie organisto? — zawołał szewc Łatkiewicz, co miał śpiewywać wigilję za organistą.

— Lepiej wam wiedzieć po polsku: Zgoda buduje, a niezgoda rujnuje! — odrzekł organista; do siebie zaś powtarzał po łacinie, odchodząc: Concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur.

Stach z Dąbrowy.

Stach został sierotą w piątym roku życia.

Ojciec jego był leśniczym, był to człowiek sumienny, małomówny, ale zawsze gotów pomódz bliźniemu w razie rzeczywistej potrzeby. Wyszędłszy pewnego dnia w zawieję zimową do lasu wraz z innymi, którzy poszli walczyć za wolność Ojczyzny, nie powrócił już nigdy do domu. Żona oplakała go i wzięła się do roboty, trzeba było wyżywić siebie i syna. Wkrótce w tych okolicach zjawiła się choleryczna epidemia. Słabość zabierała ofiary wszędzie: w lesie, polu i w mieście, zabijając nielitościwie setki ludzi.

Dobra matka Stacha we dnie i w nocy odwiedzała sąsiadów i jak siostra miłosierdzia niosła pierwszą konieczną pomoc chorym, aż nareszcie przypłaciła swoje poświęcenie własnym życiem.

Po śmierci matki, ciotka wzięła Stacha do swej chaty i uważała go za własnego syna. Zaczyna kobieta

kochała całym sercem swego wychowanka, mały Stach był dobrym chłopięciem: duży, silnie zbudowany, wyraz twarzy miał śmiały, a łagodny: łączyła się w niej żywość z pewną powagą. Szczególnie żywo przypominam sobie jego wielkie, wyraziste oczy i jasne włosy.

Stach był zawsze pierwszym uczniem w szkole. Nauczyciel nie mógł dosyć nachwalić się jego pojętności i pilności. Lubił też bardzo chłopca za jego głęboką pobożność. W kościele stawał w oddalonym kąci, ze skupioną uwagą, słuchał całego nabożeństwa i zasyłał gorące modły, których Pan Bóg napewno wysłuchiwał.

Stach stał na czele wiejskiej dziatwy, chociaż nie dobił się tego zaszczytu.

Dziewczeta i chłopcy zarówno kochali Stacha i szczylicili się swoim ulubieńcem. Bez Stacha nie obezšla się żadna wycieczka po grzyby lub jagody, żadne wyjście chłopiąt na polne lub ogrodowe roboty. W piękne, letnie noce przv ogniu na pastwisku, lub zimą koło pieca w kółku dziewcząt i chłopców Stach opowiadał swym młodym słuchaczom dziwy o królach boginkach, rozmaite legendy i bajki, a opowiadał tak pięknie, że towarzysze słuchali go z zapartym oddechem.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Ja według zwyczaju spędzałem święta w Dąbrowie. W tym roku zima była sroga. Głód zapędzał drapieżne zwierzęta do wsi. Jeden włościanin zabił na swoim dziedzińcu lisa. Co wieczora widziałem koło balkonu błyszczące, jak błędne ogniki, wilcze oczy.

Pewnego popołudnia poszły włościańskie dzieci z sankami po chrust do lasu. Masy śniegu poobłamywały gałęzie drzew i ziemia była niemi okryta, dzieci poszły po nie w las, bo te gałęzie, to opał wieśniaków. Stach jak zwykle był na czele gromadki. Skończył właśnie lat dwanaście.

Kiedy wszystkie sanki napełniono chrustem, dowódca gromadki zwrócił się z taką propozycją.

— No dzieci, ukończyliśmy naszą robotę, możemy się trochę pobawić. Chcecie, zrobię wam pyszną ślizgawkę na stoku tej górkę?

Dzieci zakrzyzczały radośnie.

— Stachu kochany, lubv Stachu, oto się wyborne zabawimy!

Jak powiedziano, tak się też i stało. Część dzieci powiozła przedko chrust do wsi. Stach z pozostałymi zaczął sporządzać ślizgawkę. W okamgnieniu ślizgawka była zrobiona, dzieci opróżniwszy swoje sanki powróciły w podskokach.

Dziewczynki w kolorowych chusteczkach, przypominające czerwone jabłuszka, chłopcyki w barankowych czapkach, wszyscy byli weseli i zadowoleni i kiedy pierwsze sanki zjechały z górkę, zapomniwały o powrocie do domu. Przy każdych jadących z górkę sankach, rozległ się głośny śmiech i dzieci radośnie klaskały w dłonie.

Niepostrzeżenie zbliżył się zmierzch, a potem nastąpiła noc. Na bladym niebie zabłysły gwiazdki, księżyc oświecił krzyż wiejskiego kościoła, a dzieci bawiły się w najlepsze na skraju lasu.

Siedząc wygodnie koło kominka, czytałem, gdy w tem nagle posłyszałem przeraźliwe krzyki:

— Wilk, wilk! napadł nasze dzieci w lesie! Ratujcie, prędzej ratunku!

Zerwałem się przerażony, schwyciłem strzelbę i jak stałem bez czapki, wybiegłem na ulicę.

Dziwne, że przez całą drogę aż do miejsca wy-

padku myślałem tylko o jednym Stachu. Dobra, rozumna twarz ukochanego chłopca nie ustępowała mi z przed oczu.

Prędko dopędziłem wieśniaków, uzbrojonych drągami i siekierami.

Z każdej chaty wybiegł ktoś i przyłączył się do nas.

Kobiety głośno zanosiły się od płaczu, jak nad umarłymi, ojcowie i bracia dzieci, co były w lesie, trwożliwie rozmawiali ze sobą; cała wieś była w poplochu.

Ot, co dowiedziałem się dobiegłszy na miejsce:

W tym czasie, gdy dzieci bawiły się na śniegu pod gwiaździstym niebem, niespodzianie ukazał się ogromny wilk. Bawiące się dzieci nie zauważyły, że ucieczka była niemożliwą. Dziki krzyk przerażenia uderzył w powietrze i wszystkie dzieci zgromadziły się koło Stacha, instynktownie szukające obrony, czekając od niego zbawienia.

Kilka sekund wilk nie ruszał się, tak jakby wybierał godną siebie ofiarę. Dzieci zaczęły modlić się na głos.

— Nie ruszać się, dziatwa — rozkazująco wykrzyknął Stach, przesywając pałającym spojrzeniem straszego przeciwnika. — Nie pozwolę złemu wrogowi skrzywdzić was. Może tutaj ja zginę, ale was nie zdradzę, niedam.

Przy tych słowach wyjął z za pasa szeroki nóż.

Blask ostrza widocznie rozjuszył wilka; zatrzymał swój wzrok na Stachu, zbliżając się stanowczo do gromadki dzieci.

Mały bohater przeżegnał się i szybko wystąpił na spotkanie wroga, pozostawiając za sobą struchlałych towarzyszy.

Chwilę stali obaj zapaśnicy bez ruchu, mierząc się długim przenikliwym spojrzeniem, poczem drapieżny zwierz rzucił się na Stacha, który nóż pchnął po samą rękojeść w wilczą skórę.

Ale zwierz wpił się zębami w odważnego chłopca.

Stach wypuścił nóż z rąk i schwycił wilka za gardło. Obaj upadli w śnieg...

Kiedyśmy dobiegli na miejsce, wszystko już było skończone i chłopiec i wilk nie oddychali.

Drobne ręce Stacha wpijały się w najeżoną sierć wilka, zęby miał ściśnięte, jak człowiek, który zbiera ostatnie siły...

Kiedy uwolniliśmy Stacha od wilka i ułożyliśmy go ostrożnie na śniegu, wyraz zaciętości, wywołany na jego łagodną twarz rozjuszeniem na straszego wroga ustąpił. Rysy złagodniały, wyszlachetniały. Chłopiec zdawał się odpoczywać, spokojny, z uśmiechem na twarzy, jak człowiek, który spełnił wielki czyn poświęcenia. Dzieci w milczeniu, z pełnym smutku wzrokiem, z najgłębszą czcią okrażyły ciało swego wspaniałomyślnego przyjaciela.

Wtem ktoś z cicha wymówił:

— Bóg powołał Stacha do Siebie. Widocznie Pan Bóg potrzebował anioła w niebie.

W rok później po opisanym wypadku, przyjechałem do Dąbrowy. Na miejscu śmierci mego ulubieńca stał duży drewniany krzyż, który wydał mi się piękniejszym od najwspanialszych pomników.

Na krzyżu przeczytałem następujący napis:

Na tem miejscu poświęcił siebie za nasze dzieci: Stanisław Wolski z Dąbrowy, przeżywszy lat 12. Przechodniu, zmów „Ojcze nasz“ za jego szlachetną duszę